Cena tego zeszytu 50 gr.

ROK XIII. WRZESIEŃ 1932. Nr. 7.

ORLI LOT

MIESIĘCZNIK KRAJOZNAWCZY

ORGAN KÓŁ KRAJOZNAWCZYCH MŁODZIEŻY POLSKIEGO TOWARZYSTWA KRAJOZNAWCZEGO



2 STARUSZKÓW Z KRZCZONOWA (POW. LUBELSKIEGO), KTÓRZY PAMIĘTAJĄ POWSTANIE Z 63-GO ROKU.

Mal. Irena Sofiszczenko.

JANINA MORAWSKA, (Metz, Francja).

Krajoznawstwo a idea braterstwa u ludów.

Nieraz napotykałam na zarzut, że ruch krajoznawczy wśród młodzieży, budząc umiłowanie ziemi ojczystej, budzi jednocześnie silny nacjonalizm, a przez to samo przeciwdziała ugruntowaniu się idei braterstwa ludów, idei miłości ogólno-ludzkiej. Nigdy nie zgadzałam się z tym poglądem, bo wydaje mi się, że im kto więcej kocha swój kraj, tem więcej kocha świat cały i Boga. Ale teraz stwierdziłam sama na sobie, jak niesłusznem jest twierdzenie, że idea krajoznawcza pogłębia różnice narodowościowe.

Wyjechałam z kraju, zerwałam bezpośredni kontakt z pracą krajoznawczą, oddaliłam się od zagadnień bieżących tego ruchu. Jednak żyłka krajoznawcza pozostała we mnie. Objawia się ona w wielu postaciach, że wymienię manję wycieczkową, zwyczaj „gapienia“ się na stare budowle i kościoły, chęć wyszukiwania pamiątek historycznych i t. p. — ale jednym z objawów istnienia tej żyłki krajoznawczej jest trwające we mnie po dziś dzień zainteresowanie się zwyczajami i strojami ludowemi. Po przybyciu do Strasburga np. pierwszą moją wyprawą było zwiedzenie muzeum etnograficznego. Czyli, że moje „przekonania“ krajoznawcze wcale nie budzą we mnie niechęci do obcych, — a przeciwnie — powodują zainteresowanie się ludoznawstwem francuskiem. I napewno każdy krajoznawca, znalazłszy się na obczyźnie, nie traktuje wrogo swoich gospodarzy — ale zbliża się do nich, chcąc ich poznać — pod wpływem nabytych przyzwyczajeń.

Muzeum to znajduje się w starym mieszczańskim domu. W kilkunastu małych pokoikach (z belkowanemi pułapami) mieszczą się setki wartościowych eksponatów. Trzeba przyznać, że Francuzi niebardzo szanują te okazy muzealne. O jakiejkolwiek ochronie w szafkach — mowy niema. Wszystko leży, gdzie jest miejsce, na wierzchu — kurzy się, niszczy, może zawieruszyć.

Tyle o zewnętrznej konserwacji. Jest jedna rzecz, która zwróciła moją uwagę i zostawiła głębokie wrażenie: dział strojów ludowych i pamiątek obrzędowych. A więc ta osławiona różność narodowości nie jest istotna? A więc te różnice szczepów i ras są tylko zewnętrzne? — Wszędzie i zawsze napotyka się tylko człowieka — człowieka tak znajomego i bliskiego — mimo pozornej różnicy językowej i narodowościowej. Cóż zobaczyłam? Oto i tu, wsie różnią się fartuchami kobiet (nasza Huculszczyzna) i tu przybrania na głowę i czepeczki dla panny młodej — i tu wieńce pszenne (Plon, niesiemy plon...), czyli i tu były podobne zwyczaje, podobnie myślący i czujący ludzie.

Przez dłuższy czas, ze szczerem wzruszeniem przyglądałam się jakiemuś czepkowi swatki abrackiej, drewnianym kołatkom u drzwi i odświętnym pończochom młodych dziewcząt (u nas łowickie). I nagle Francuzi wydali mi się bardziej swoi, bardziej zrozumiali i bliscy. To nic, że teraz tego niema, to nic, że oni teraz sami śmieją się z tego (słyszałam to w muzeum) — ale kiedyś dla nich samych było to ważne i godne szacunku.

Szerzmy więc krajoznawstwo, poznajmy i kochajmy swój kraj, —

w ten sposób nietylko do swojej ziemi budzimy przywiązanie, ale zbliżamy się i do ludzi całego świata.

Jeszcze jedna rzecz w muzeum strasburskiem jest godna uwagi. Widziałam tam — u nas bodaj nigdzie nie istniejącą — pracownię alchemika średniowiecznego. W małej, nieregularnej izbie, z piecem, kotłami, miseczkami, epruwetkami, wagami, probówkami, kamieniami — słowem z tem wszystkiem, z czego i jak „robiono złoto“ i „kamień życia“. Wydaje mi się, że i u nas możnaby zebrać po kątach Polski różne pozostałości z tego okresu i przy któremś muzeum urządzić taki pokój alchemika. Możeby wtedy młodzież lepiej zrozumiała Fausta?

Koła krajoznawcze młodzieży tak są rozsiane po całej Polsce, że członkowie ich napewno wyszperają resztki po naszych „mistrzach“ średniowiecznych. Czy nie nadawałoby się to na pracę dla kół młodzieży?

S. RADOMYSKA (Lublin, Gimn. SS. Urszulanek).

Wesele w powiecie Krasnostawskim.

Wiejski chłopak, chcąc poślubić wybraną dziewczynę, musi przedewszystkiem wysłać do jej rodziców swatów. Na swatów wybierają zwykle ludzi poważnych i starszych. Po załatwieniu tej sprawy, to znaczy kiedy rodzice panny zgadzają się na przyjęcie chłopca na męża dla córki, swaci sprowadzają przyszłego ich zięcia i wtedy wszyscy piją wódkę za zdrowie młodej pary. Swaci zawsze przychodzą we czwartek, a w sobotę następują pierwsze zapowiedzi, po trzech tygodniach, zawsze we środę odbywa się ślub. Zamożniejsi urządzają ślub zwykle wieczorem, chcąc uwydatnić cały szyk i bogactwo.

Orszak ślubny prowadzi muzyka, za nią jadą państwo młodzi, wreszcie starosta ze starościną, dalej swat ze starszą druchną, na końcu reszta orszaku.

Na wesele starsza druchna piecze korowaj, musi się przytem starać, żeby był z jak najlepszego ciasta, piecze się go przytem zwykle w ramie od sita. Korowaj jest to coś w rodzaju baby, tylko o wiele większe, przybiera się go gałązkami i wianuszkami z ruty i cukierkami. Przytem starsza druchna jest obowiązana ofiarować pannie młodej ładną chustkę lub szal.

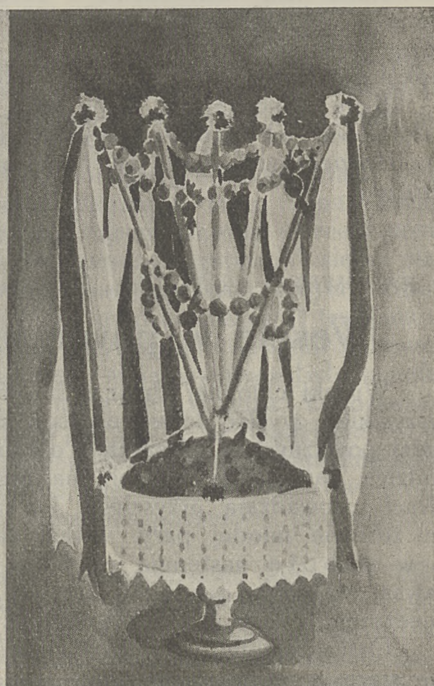
Kiedy zbliża się chwila wyjazdu do kościoła państwo młodzi klękają na kawałku rozścielonego płótna i otrzymują od rodziców błogosławieństwo; w tej chwili starsza druchna przypina drużbom do boku wianuszki. Przed wsiadaniem na wóz swatka panny młodej daje jej zawinięty chleb i cukier w chusteczce, panna młoda bierze to ze sobą do kościoła. Wszyscy wyruszają po dokonaniu tych czynności do kościoła w porządku poprzednio podanym.

Starsza druchna ma na swoim wozie niecki lub przetak wypełniony słodyczami, któremi obdarowuje napotykane po drodze dzieci.

W chwilę po ślubie, gdy wszyscy znajdują się przed kościołem, panna młoda daje mężowi do zjedzenia chleb i cukier otrzymany od matki; ma to oznaczać, żeby im obojgu w życiu nigdy nie zabrakło

chociażby tego czarnego chleba. W powrotnej drodze muzyka gra marsza, na spotkanie jadących wychodzi z chaty matka, witając ich chlebem i solą, — po tem powitaniu częstuje ich wódką i kawą, poczem następują tańce, które trwają do pierwszej w nocy. O tej porze jest obiad, do którego podają tradycyjne potrawy, jak: rosół z makaronem, bigos, drygle (galaretka z cielęcych nóżek), na zakończenie podaje się





Ryc. 1. Ryc. 2.

Ryc. 1. „Marszałek", berło weselne, używane we wsi Bortatyczach, pow. Zamość. Drużba starszy z tem berłem „Marszałkiem" jedzie na czele do ślubu, a następnie w czasie zabawy weselnej stale nim potrząsa. Oryginalne przywiozła uczenica VII. kl. gimn. Lipczyńska — przechowane w zbiorach krajoznawczych Gimn. SS. Urszulanek w Lublinie. Zrobione z piór, z barwinku, 3 palmy połączone górą wstążką na której wisi dzwonek. Na każdym z 3 ramion „marszałka" wisi piękna kokarda z kolorowej wstążki: białej, czerwonej i zielonej. — Ryc. 2. Korowaj weselny w Bortatyczach obok Zamościa.

trochę słodyczy. Po obiedzie zaczynają się na nowo tańce i trwają do czwartej rano, w przerwach tańca piją wódkę zagryzając plackiem. O tej godzinie następują oczepiny, w czasie których druchny częstują korowajem i wódką. Oczepiny odbywają się w ten sposób, że druchny sadzają pannę młodą na dzieży, zdejmują welon i nakładają szal otrzymany w prezencie od starszej druchny, która po zdjęciu welonu z głowy panny młodej narzuca go na siebie i z każdym drużbą po kolei tańczy. Po przetańczeniu, każdego prowadzi do panny młodej. Każdy młodzieniec na przygotowany talerz kładzie pieniądze — to się mówi, że panna młoda zbiera na czepiec. Następują potem tańce, które trwają do rana.

KRYSTYNA BREZA (Lublin, Gimn. SS. Urszulanek).

Zwyczaje w Wilkołazie.

(woj. Lubelskie, pow. Janowski).

Bardzo stare i wzruszające zwyczaje obchodzą wieśniacy podczas świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku. W dzień wilji nikt już od rana nie pracuje, tylko gospodynie wykończają strojenie chaty w sośninę i robią ogólne porządki.



„KRÓL“

„Króla“ tego przynosi rano w wilję Bożego Narodzenia gumienny do pana dworu, wręczając mu go mówi:

„Na szczęście, na zdrowie, na dzisiejszą świętą wigiliję, żebyśmy byli zdrowi wcieli, jak w niebie anieli“.

„Król“ stoi w rogu jadalnego pokoju do Trzech Króli. Później młóci się go, a ziarno miesza się ze zbożem przeznaczonem do siewu, a to w tym celu, aby był ładniejszy urodzaj.

Chłop dnia tego nie klnie, a nawet głos jego niski i twardy nabiera jakichś miększych i delikatniejszych tonów, gdy spozierając na małżonkę dopomina się, aby niczego nie brakowało przy posiłku.

Już długi heblowany stół przyprószono sianem i przykryto lnianym obrusem. W kącie izby gospodarz zwykł stawiać snop pięknego żyta. Gdy pierwsza gwiazdka zabłysła wieśniak dzieli się z żoną opłatkiem. Nic nie życzą sobie, milczą w skupieniu, ale z oczu znać, że niczego więcej nie pragną nad to szare życie, razem na dolę i niedolę, na ból i łzy.

Już wszyscy siedzą za stołem, jedno nakrycie wolne. Może kto przyjdzie, może jaki biedny zabłąkany zapuka do chaty. Ten stary zwyczaj kultywują i tu wieśniacy od dawna. Pośnik zaczyna się przekąską, złożoną z wódki, śledzia i razowca. Potem barszcz lub gęsta zupa grzybowa, pierogi z kapustą lub kaszą i kluski z makiem. Pośnik zwykle upływa w milczeniu. Gospodarze wstają, za niemi cała młódź i odśpiewują kolędę.

Młodzież się rozbiega, dużo bowiem krąży podań o studni, gadających ludzkim głosem bydlątkach, więc muszą wszystkiego wypróbować. Dziewczęta, wyszedłszy za próg hukają, słuchając z natężoną uwagą z której strony echo im zawtóruje, z tej bowiem przyjadą swaty. Chłopcy biegną do studni, w której ma być wino, niestety niema, dążą więc pod wrota obórki, aby posłuchać, co krowy gwarzą. Do środka jednak wejść żaden się nie ośmieli, bo to nieszczęście przynosi.

W dzień Bożego Narodzenia chłopcy chodzą od chaty do chaty po kolędzie.

Śpiewają ludowe pieśni, odgrywają jasełka, zwykle bardzo monotonnym głosem i niewyraźnie.

Kolędnicy albo „Herody" chodzą od chaty do chaty przez całe święta aż do Matki Boskiej Gromnicznej. Z Nowym Rokiem następują odmienne zwyczaje. Gospodarze życzą sobie szczęśliwego „dosiego roku". Jest zwyczaj, że przez drzwi do sieni wprowadzają konia. Gospodarz obowiązany jest stawić wódkę i smakowitą przekąskę.

Do dworów przychodzą z życzeniami fornale. Wybierają najładniejszego konia, ubierają go czerwonemi i białemi wstążeczkami. Owczarz przynosi na rękach malutką białą owieczkę z cieniutkim dzwoneczkiem na szyi. Pastuszek przyprowadza byka również pięknie przybranego. Niekiedy przychodzi i dziewczyna z kurą lub kaczką, ale teraz ten zwyczaj już mija. Wszyscy z namaszczeniem i powagą trochę fałszywie ale bardzo szczerze odśpiewują kolędę, przeważnie „W żłobie leży".

Obrazek jest bardzo malowniczy. Chłopaki trzaskają z biczów. Koń fornali rwie się niespokojnie i strzyże uszami. Wysoki brodaty owczarz śpiewa z starym pastuchem najgrubiej i najgłośniej. A ponad wszystko delikatnie lecz przenikliwie unosi się głos dzwoneczka u szyi jagniątka.

Zwyczaje te bardzo są miłe i proste, przypominają dawne, dawne czasy. Niestety, zwyczaje te coraz bardziej zanikają, bojkotowane przez niechęć i wstyd niewytłumaczony.

Sama tego roku rozmawiając z „Herodami" dowiedziałam się, że ostatni raz idą z kolędą. Dlaczego? Dlatego, że im się nie opłaci. Stroje drogo kosztują, oni się nachodzą, naziębną, a czystego zysku mają tylko 15 lub 20 zł.

Na wzmiankę, że dla samego zwyczaju i tak ładnej tradycji wartoby kontynuować tę pracę, spojrzeli na mnie zdumieni. Oni nie widzą w tym nic ładnego, tylko dla zarobku. Nie wiedzą, że to jest tak piękne. Nie rozumieją tego.

Na zapewnienie, że mnie i wszystkim innym bardzo się podobają, obiecali przyjść na rok przyszły. Trzeba ich uświadomić, aby zrozumieli, czem jest tradycja i indywidualny obyczaj dla każdego narodu.

MARJA GAJEWSKA (Lublin, Gimn. SS. Urszulanek).

Wróżby oraz zabobony wigilijne i noworoczne
w Kijonacu (Lubelskie).

Jeżeli przy stole podczas wilji Bożego Narodzenia jest nieparzysta liczba osób, to wkrótce ktoś z obecnych umrze.

Po wilji każdy swoją łyżkę kładzie do maku utartego z miodem i pozostawia ją na noc. Na drugi dzień rano każdy patrzy, czy jego łyżka w tej samej pozycji znajduje się co wczoraj. O ile łyżka opadnie na dół, wróży to śmierć jej posiadaczowi.

Po skończonej wilji każdy bierze na łyżkę utartego maku z miodem i wyrzuca go do góry, tak aby dostał do sufitu. Jeśli mak z miodem przylepi się do sufitu, to będzie urodzaj na miód, w przeciwnym razie będzie nieurodzaj.

13 dni przed Bożem Narodzeniem to zn. w dzień św. Łucji, dziewczyna wiejska nabija jabłko żelaznemi gwoździami i trzyma je na oknie. W dzień Bożego Narodzenia dziewczyna je to jabłko przy gościach, i który mężczyzna (kawaler) ugryzie z nią kawałek tego jabłka, zostanie jej mężem.

W dzień św. Łucji kładzie się też gałązkę wiśni do wody i trzyma się w ciepłym pokoju do Bożego Narodzenia. Jeśli gałązka zakwitnie w ciągu tego czasu, to dane dziewczę, które ją pielęgnowało wyjdzie zamąż, a jeśli nie zakwitnie to zostanie starą panną.

Zwykle po wilji Bożego Narodzenia wyjmuje się ziarno z pod obrusu, dosypuje się pozostałości opłatków i daje się zwierzętom z obrokiem.

Ludzie na wsi wierzą, że w tym momencie, gdy Pan Jezus przychodzi na świat, zwierzęta rozmawiają ludzkim głosem. Lecz ludzie boją się podsłuchiwać, aby nie usłyszeć niemiłej wróżby.

W wilję Nowego Roku dziewczęta leją roztopiony wosk na miednicę i potem, gdy on stwardnieje, w jego kształtach, uwydatniających się na ścianie, rozróżniają jakieś znaki, mówiące o złej lub dobrej przyszłości.

W wieczór noworoczny dziewczęta biorą trzy talerzyki i pod jeden kładą obrączkę lub pierścionek, pod drugi różaniec, a pod trzeci kokardkę lub kwiatuszek. Potem jedna po drugiej wybierają talerzyki i patrzą co wyciągnęły. Jeśli która wyciągnie pierścionek lub obrączkę będzie mężatką, różaniec — zakonnicą, a kokardkę lub kwiatuszek — starą panną.

W dzień Nowego Roku wystrzegają się pożyczania pieniędzy lub wogóle czegoś, gdyż sądzą, że cały rok będą pożyczać.

Wystrzegają się też kłótni, swarów i jak mogą, tak oddalają niepowodzenia w dzień Nowego Roku, gdyż cały rok taki będzie.

Wieczór noworoczny chłopcy spędzają na dworze, albowiem chodzą pod oknami sąsiadów i słuchają rozmów. Jeśli słyszą dobre słowa, to cały rok dobrze spędzą, a jeśli usłyszą krzyki, gniewy lub kłótnie, w ciągu roku nowego będzie im się źle działo. Mają też przy sobie placek specjalnie pieczony na Nowy Rok i gdy usłyszą dobre, zachęcające słowa, wchodzą do domu i dzielą się nim z gospodarzami, dziękując za dobrą wróżbę.

W Nowy Rok wieczorem sypią na środku pokoju ziarno i wpuszczają dwie kury. Jeśli one jedzą z apetytem ziarna, uważają za dobrą wróżbę, a jeśli nie chcą jeść za złą wróżbę.

W ten dzień, zazwyczaj w ogrodzie pod płotem stawiają trzy miseczki z kaszą i zostawiają je na noc. Na drugi dzień jeśli zobaczą, że ubyło trochę z miseczki tej kaszy, to dana dziewczyna będzie szczęśliwą w pożyciu małżeńskim; jeżeli z miseczki ubyło dużo kaszy, to życie tej dziewczyny będzie nieszczęśliwe, zaś jeśli nic nie ubyło kaszy z miski, to ta dziewczyna zostanie starą panną.

Wieszają też garnek na płocie przed domem, — jeśli na drugi dzień zobaczą, że jest zbity, to cały rok będzie szczęśliwy, w przeciwnym razie będzie nieszczęśliwy.

W nocy dziewczęta wychodzą na dwór i wypowiadają jakieś słowa. Z której strony przyniesie je echo, z tej strony przybędą swaty.

Gdy się pali w piecu, uważają w którą stronę wiatr dym poniesie, i potem spodziewają się z tej strony przybycia swatów.

Biorą też buty i rzucają za siebie, w którą stronę but odwróci się noskiem, z tej strony przyjedzie mąż.

W Nowy Rok palą w piecu chlebowym i gdy ten jest dobrze nagrzany, wpuszczają do niego złapanego, żywego wróbelka, aby się spalił. Gdy wróbel spali się i piec wystygnie, zamiatają z pieca popiół i potem przy siewie rzucają go razem z ziarnem na rolę. Albowiem wierzą, że w ten sposób uchronią zboże od nawałnicy, wróbli i innych ptaków, chciwych na chlebodajne ziarenka.

W Nowy Rok jasno —
W stodole ciasno,
W Nowy Rok deszcz —
Nie będzie co jeść.

HALINA KOMOROWSKA (Lublin, Gimn. SS. Urszulanek).

Stanisław Bojarczuk

poeta ludowy, urodz. 1869 r.



W Krasnym Stawie żyje gospodarz nazwiskiem Bojarczuk, poeta, którym zajęły się członkinie Koła Krajoznawczego, pochodzące z Krasnego Stawu. Na ich prośbę spisał on pewne szczegóły autobiograficzne, które przeplata obficie sonetami. Szczegółową jego biografję opracują młode krajoznawczynie, na razie podajemy trzy jego sonety, charakteryzujące jego twórczość.

Żarna.

Pierwszą moją muzyką, jaką myśl [niezdarna
wieku mojego dziecięctwa zapamię- [tać może,
to turkot monotonny, gdy mielono [zboże,
przy śpiewaniu godzinek obracając [żarna.

Odtąd grają mi w duszy w rzewliwym utworze,
czy mnie sobą pochłania czynność gospodarza,
czy radością tchnie jaźń ma, czy przekora czarna
swą mnie dolegliwością i trapieniem zmoże.

Żarna już nie istnieją. Młodsze pokolenia
już nie będą wiedziały, co to żarna znaczą,
a mnie żarna śpiewają, a mnie żarna płaczą.

I myślę, że przy końcu mojego istnienia,
możeby lżej mi było tam przy moim zgonie
zasypiać snem wieczności przy ich smętnym tonie.

Wigilja.

I.

Adwentowe roratne skończyły się jęki.
Wreszcie ten wigilijny wieczór nastał święty,
pieszczony w wyobraźni, w kolędach zaklęty
i rozłożył wśród nocnej ciszy swoje wdzięki.

W kąt izby ustawiono snop żyta użęty,
na ziemi rozścielono słomy całe pęki,
na stole miękkie siano, by Jezus maleńki
miał wygodę, jak ongi pomiędzy bydlęty.

Podniecony, już zda się nie wytrzymam dłużej,
ślę błagalne spojrzenia od ojca do matki,
ci jakby obojętni — mnie się chwila dłuży...

Wtem świecę zapalono, lecz zanim opłatki
rozłamiem, rzecze ojciec: »Teraz moje dziatki
zmówcie sobie paciorek za tych, co w podróży«.

II.

Gdy każdy zdrów i w domu wszyscy się weselą,
zasiadają przy stole i starzy i młodzi,
nucąc wiersz Karpińskiego Franka: »Bóg się rodzi«
i opłatkiem się, świętym chlebem zgody, dzielą.

Flasza płynu słodkiego dokoła obchodzi.
Gdy starsi mocnym trunkiem głowy sobie chmielą,
my dzieci, wywracamy nad słomianą pościelą
koziołki. Wtem Wieczerza Postniku nadchodzi.

Postnik, zwyczaj, co ojce od dziadów wziąć mieli,
z postnych potraw dziewięciu zazwyczaj się składał,
dzielony na trzy serje, trójkami wypadał.

Śledź szedł w pierwszym szeregu. Jakoż, twierdzą śmieli
tworem wodnym się życie poczęło na globie,
skończy deserem mchu na jego grobie.

KRYSTYNA BREZA, (Lublin, Gimn. SS. Urszulanek).

Sprawozdanie z wycieczki archeologiczno-krajoznawczej
do Bortatycz, pow. Zamość, dn. 13. VI. 1932.

Przez Bortatycze, wieś oddaloną o 8 km. od Zamościa i tyleż od Zawady, przechodzi nowa szosa. Przy jej budowie, przy znoszeniu nadmiernego wzniesienia, odnaleziono bardzo stare, prawdopodobnie z okresu

kamiennego, wykopaliska. — Koło nasze dla osobistego zbadania terenu i obejrzenia godnych uwagi przedmiotów, udało się do Bortatycz, pod przewodnictwem naszej kierowniczki Koła M. Szczęsnej, Urszulanki. Uczestniczek było 15, z klas VII., VI. i V. Po kilkugodzinnej podróży koleją, z Zawady wyruszyliśmy do Bortatycz drabiniakami, dzięki grzeczności pp. Lipczyńskich, rodziców jednej z członkiń.

Zaraz po przybyciu poszłyśmy z aparatami fotograficznemi zbadać teren wykopaliskowy. Miejsce to jest oddalone o kilkadziesiąt kroków od dworku bortatyckiego. Jest to lekkie wzniesienie, opadające stromo do dawnego brzegu rzeki Topornicy, która wiła się pod wzgórzem, teraz uregulowana, ma łożysko oddalone o kilkadziesiąt kroków od wzgórka. Inne stoki opadają bardzo łagodnie. Środkiem przechodzi szosa z Zamościa do Lublina, głęboko wrzynająca się we wzgórze.

Pod cienką warstwą czarnoziemu jest pokład jasnego lessu. W nim to znać jamy grobowców. Przekrój ich jest półkolisty. Groby zasypane są czarnoziemem, który wyraźnie odbija od lessu. Przechodząca szosa sprawiła, że groby rozkopano i tylko część ich została nienaruszona na zboczu drogi.

Gdy groby rozkopywano, znalazłyśmy szczątki starych popielnic z czarnej gliny i resztki prochów w nich zawartych. Oprócz tego szczątki kości prawdopodobnie z wołu. Następnie grot, sporządzony z kości i dwa ostre narzędzia z czarnego krzemienia oraz jedno z granitu.

Grobowce i wykopaliska nasuwają nam na myśl przypuszczenie, że w tym właśnie miejscu znajdowała się przedhistoryczna osada. Jak się zwykle zdarzało, była ona rozłożona na wzgórzu nad rzeką. Wykopaliska te, złożone z kamieni i kości świadczą, że pochodzą z okresu kamiennego.

STANISŁAW KRYSTASIAK (Warszawa).

„Per pedes Apostolorum" po Polesiu.

Wrażenia z wędrownego obozu krajoznawczego wychowanków Bursy Związku Osadników.

Ciąg dalszy.

Po zachodniej połaci niebios w potwornych kłębach wlokły się chmury, od południa burza szła, a z opadającej mgły wyjrzało anemiczne słońce, gdyśmy ruszyli ku Kobryniowi. Dziwnie niesporo coś nam szła ta droga i bez przesady śmiało rzec mogę, że na żadnym odcinku tak się nie zmęczyliśmy, jak na tym Zaprudy—Kobryń. Nie pomogła kąpiel przy moście w Muchawcu, ni sztuczny, nadrabiany pieśnią humor, — coś nas przytłaczało i gnębiło, coś, czego pozbyć się nie mogliśmy, a co denerwowało w najwyższym stopniu. Od gęstych, sino-żółtych, nabrzmiałych ulewą chmur wiało grozą... Błyskawica gdzieś na widnokręgu zalśniła na moment, a po niej doszedł nas głuchy pomruk grzmotu. Pociemniało naraz wokół i spochmurniał świat, umilkło ptactwo, przerażona wrona żałośnie krakała, ucichł wiatr — znieruchomiałe drzewa trwożnym szmerem prosić się zdawały o litość, — od obwisłych chmur wiało chłodem i szedł poszum nawałnicy. Z pierwszemi kroplami deszczu do-

padliśmy żydowskiej karczmy w Ostromecku i tu burzę, która już się rozszalała na dobre, przeczekaliśmy. — Radowałbym się rzeźwością powietrza, świeżemi po deszczu barwami pól i jasnem, wspaniałem słońcem, co zbywszy się całuna chmur, szczodrze siało promieniami, susząc śpiesznie ślady deszczu, przydrożne kałuże, — gdyby mię nie były uwierały buty. Już od onej w Muchawcu kąpieli czułem, że coś źle z memi nogami, że muszą mi się tworzyć pęcherze. W Kobryniu przedewszystkiem podjęliśmy pocztę (skrzynka z konserwami i wędzonką była przesyłką wspaniałą!) Następnie udaliśmy się za miasto, do kolonisty, na kwaterę, gdzie dopiero miałem możność przekonania się o grozie mego położenia, gdy zdjąwszy buty, ujrzałem miast spodziewanych pęcherzyków — poduszki wprost całe, nabrane wodą, — na palcach i we wklęsłości prawej stopy. Perspektywa dalszego marszu przejęła mię trwogą. Sytuacja jednak okazała się mniej groźną, niż przewidywałem. Pęcherze, gdy nazajutrz pękły, zerwałem, — a obnażone rany smarowałem dwa razy dziennie jodyną. Boski ten środek w pierwszj chwili sprawiając niewypowiedziane tortury, w przeciągu kilkunastu dni wykurował mi nogi, że znaku po pęcherzach nie zostało.

Kobryń w odróżnieniu od Prużany, która ma w herbie węża połykającego dziecko, — ma za patronkę św. Annę — a to z tej przyczyny, że założyła to ongi piękne, dziś cuchnące, żydowskie miasto Anna Jagiellonka, która znanej swej pobożności i tu chcąc dać wyraz, wzniosła świątynię pod wezwaniem swej świętej patronki. Jedno, co Kobryń ma ładne, to rzekę Muchawiec i jej dopływ, Kobryniankę, — na których są względnie tanie łodzie, a za miastem plaża. W śródmieściu zwraca uwagę skromny, staropolski dworek Traugutta, zajęty na mieszkania prywatne urzędników miejskich. Uprzejmi nasi gospodarze-osadnicy dali nam specjalnych prelegentów, którzy w nasze naładowane wrażeniami i różnemi wiadomościami komory mózgowe, zdołali jeszcze wcisnąć i te, że pow. kobryński zamieszkuje w $^1/_4$ ludność polska, (tyleż wynosi średni stosunek ludności polskiej dla Polesia), pozatem w tym samym stosunku Rosjanie, Rusini i Żydzi; że ludność ta, ongi unicka, obecnie prawosławna jest wysoce patrjotyczna i wiele, wiele innych, plus dane statystyczne. Co godne zaznaczenia, to że na drodze Prużana—Kobryń spotykaliśmy bardzo często oryginalnych, w chałatach, — lub, co jeszcze bardziej charakteryzuje kraj — w łapciach lipowych, albo zgoła bosych cyklistów, którzy nie bacząc na to, jak niesamowite na nas wywierają swą ekscentrycznością wrażenie, pełni fantazji mijali nas, zazdroszczących im, utrudzonych piechurów...

Cały dzień poświęciliśmy na odpoczynek w Kobryniu, następnego ranka zabandażowałem nogi i za każdym krokiem sycząc (dokąd się nie rozszedłem) ruszyłem na Dywin. Droga była haniebna i zaraz za miastem mogliśmy się o tem przekonać, widząc jak poczciwa, chłopska szkapa ze skóry wprost wyłazi, chcąc wyciągnąć z piachu wózek... Nie dziwię się też bardzo naszemu „Kronikarzowi“, lecz ku wiecznej jego hańbie, piszę o tem, że uszedłszy paręset kroków po tych iście mazowieckich, ale nie poleskich piachach, — siadł w przydrożnym rowie i lakonicznie mi oświadczył: — „Dalej nie idę“. Cóż było robić, zgodzić się na to nie mogłem, odpowiedziałem tedy krótko: — „A ja idę“ i poszedłem ze wszystkimi. „Kronikarz“ rad nie rad, widząc że

się oddalamy nie oglądając na niego, powstał i powlókł się za nami. Ciężka to była droga, gościniec biegł wśród piachów, to przez wyschnięte bagna się przedzierał, to młode laski sosnowe go ocieniały, to znów w soczyście zielone wpadał olszniaki. Mijaliśmy poletka suchotniczem żytem i owsem porosłe, to znów złoty łan łubinu żywo nam podwarszawskie przypomniał równiny, — aż doszliśmy do wielkiego mokradła Dubowego, tak suchego pod tę porę, że grudki zaschłej, torfiastej, czarnej gleby na proch się w palcach ścierały.

Nad mokradłem tem leży wieś Ruchowicze, w której ubiegłego roku podobno chłopi spalili nocą szkołę, że nauczycielka w bieliźnie ledwo z życiem uszła. Choleryczny, o podwójnych ramionach krzyż na wstępie, mówi nam, obcym, że tu była zaraza. Wieś tonie wśród sadów wiśniowych i miłe bardzo sprawia wrażenie, nie popasamy w niej jednak ni chwilki i idziemy do następnej wsi, Chobowicz, gdzie zamierzamy nocować. W Chobowiczach pop udzielił nam gościny, ludność zato życzyła głodowej śmierci, nie chcąc nic sprzedać. Uciekaliśmy więc corychlej z tych zatrutych wschodnim trądem stron i dziwiliśmy się, skąd takie poczciwe, jak bociany, ptaki, mogą żyć z tymi ludźmi. A byłaż ich tam ilość wprost niepospolita, na każdej, najmniejszej choćby strzesze jak nie trzy, to przynajmniej jeden musiał być bocieniec.

Szliśmy tedy do Dywina. Krajobraz, w miarę jak oddalaliśmy się od Kobrynia, był coraz bardziej typowo poleski, coraz mniej było wsi, coraz więcej t. zw. chutorów, samotnych wśród bagien i lasów gospodarstw. Coraz częstsze były błota i torfowiska; charakterystyczna poleska, z dyli przez Niemców układana droga, pełna była wyrw i dziur. Wyobrażam sobie „rozkosz“ podróży taką drogą w czasie wiosennych roztopów, czy szarug jesiennych. Na niektórych odcinkach piekielny iście ten gościniec był świeżo podsypany piaskiem, co jeszcze bardziej marsz utrudniało. Rozległe moczary obfitowały w wszelaką dzicz skrzydlatą, — coraz to podrywały się stadka kaczek, kulonów i innych bekasów, co żeru szukały w przydrożnych rowach, zawierających mimo suszy wodę, w której roiło się od drobnych wjunów. Poraz pierwszy też ujrzałem dziwnego, siwego drapieżnika, który zdala, gdyby nie krótka szyja i ostro wycięte skrzydła w locie łacno mógł być wzięty za czaplę, tembardziej, że i wzrostem jej dorównywał. W lasach, obfitujących w jagody i maliny, moc było węży i jadowitych hadziuk, — a osadnicy w Dywinie opowiadali, że nie brak wśród tych lasów, saren, wilków, a czasem trafia się łoś i ryś. Z ptactwa mnogie są na bagnach nastroszone bataljony i w lasach cietrzewie, które zimową porą stadami obsiadają brzozy przy gościńcu, objadając pąki. To nam wytłumaczyło, skąd te dziewiczo piękne, poetyckie drzewa — tak nikłe mają ulistnienie.

W Dywinie, gdzie dwa dni popasaliśmy, jest ciekawy, stary pounicki cmentarz prawosławny, tem charakterystyczny, że cechuje go niebywałe wprost zaniedbanie. Prawda, że naogół wiejskie prawosławne cmentarze nie noszą śladów pieczy i pamięci o nich żywych, — jakiś krzywy krzyżyk, blaszany obrazik, czy wianuszek i wszystko; — lecz takiej obojętności dla zmarłych nie widzieliśmy ni przedtem, ni potem. Nawiasem dodać należy, że okolice Dywina słyną z wypasu wołów, które tu wyrastają do potwornych, wprost monstrualnych rozmiarów...

Z Dywina do Lelikowa poniosły nas nogi. (Łaskawy Czytelniku,

weź proszę mapę 1:300.000, albo lepiej jeszcze 1:100.000, a zobaczysz wówczas, jak piękną odbyliśmy drogę!). W zapadłej dziurze, nad jeziorem Świnoroje położonym, Lelikowie, widzieliśmy, co może człowiek dobrej woli. Mówię o kierowniku miejscowej szkoły powszechnej. Szkoła przezeń prowadzona na takim stoi poziomie, że niejedna szkoła warszawska (których wiele znam) jej nie dorówna. Człowiek ten dosłownie niesie do ludu oświaty kaganiec. Jeszcze dziesięć lat temu w Lelikowie były kurne chaty, — dziś ich miejsce zajęły miłe, o szerokich stosunkowo oknach, domy. „Z temi oknami — mówi p. P. — było mi najtrudniej walczyć, bo lud wierzy, że dusze zmarłych przychodzą oknem w odwiedziny, stąd starają się robić okienka małe, jak najmniejsze. Światlejsi zaś, nie bojący się duchów, — uważają, że dużemi oknami wiele przedostaje się zimna". Osobliwością nielada jest egipski wprost sposób uprawy warzyw. Na obranym kawałku ziemi kopie się (dosłownie) wysokie zagony, przedzielone głębokiemi rowami. Zagony te zkolei pokrywa się warstwą nawozu, poczem nawóz posypują ziemią i na przygotowanym w ten sposób gruncie sieją proso, sadzą kapustę, marchew, buraki, by w rezultacie bardzo nędzny plon zebrać. Oczywiście, nawet nie-fachowiec przyzna, że to jest praca ciężka i wręcz szkodliwa, bo sypiąc taki zagon, jałowemi warstwami spodniemi przysypuje się próchnicową, rodzajną nawierzchnię, — jedynie rowy są racjonalne, gdyż w wypadku mokrego lata, ratują zasiewy przed wygniciem. To też Poleszuki nawet zboże sieją zagonami, przedzielonemi niewielką brózdą.

Osadnik, u którego nocowaliśmy w stodółce, w bezpośredniem przez ścianę sąsiedztwie chrząkającego dobytku (tak, tak, — „Kronikarz", co najbliżej ściany miał posłanie, wstał nieprzytomny, jak zaczadzony, — cały dzień bolała go potem głowa), — sprezentował nam wspaniały okaz ubitego przez siebie (kilka dni przed naszym przybyciem) orła przedniego, — co znalazłszy w lesie padłą owcę, tak się objadł jej ścierwem, że dał się podejść na strzał.

Z Lelikowa szliśmy na Wólkę Szczytyńską, — zaścianek, zamieszkały przez szlachtę szaraczkową, co niewolę przy wierze i mowie ojców przetrwała, chowając tradycję królowej Bony, która protoplastom dzisiejszych panów-braci nadała tę ziemię wraz z indygenatem. Wdałem się w rozmowę z takim w łapciach „szlachetnie urodzonym". Mówię mu, między innemi, gdy utyskując na ciężkie czasy, skarżył się, że im równe z „chłopstwem" nakładają podatki, — iż my w Warszawie będąc, już wiedzieliśmy, że w Wólce Szczytyńskiej żyje szlachta, — a on mi na to: — „A czemużby nie mieli wiedzieć o nas w Warszawie?". — Ot, co jest buta szlachcica!

Okrążając piękne, wrzawą ptactwa rozbrzmiewające jezioro Wolańskie (połączone kanałem ze słynnem z piękności jeziorem Białem), — dotarliśmy już po zachodzie słońca do Niewira, polsko-niemieckiej kolonji nad Prypecią... Etap Niewir—Wetły odbyliśmy podwodami, bowiem starostwo Kamień-Koszyrskie wydało rozporządzenie, by nas otoczono życzliwą opieką i możliwie ułatwiono podróż. — Ponieważ zaś specjalnie nic nie potrzebowaliśmy, więc chcąc się przypodobać władzy świeżo upieczony wójt kazał nas odwieźć do Weteł. Rozumie się, że z rozporządzenia panawójtowego skwapliwie skorzystaliśmy. (C. d. n.).

Z książek i czasopism.

Album kościołów słowackich[1]). Z górą sto pierwszorzędnie wykonanych ilustracyj: przedstawiają ewangelickie świątynie w Słowacji i to specjalnie wybrane: tolerancyjne i artykularne.

W r. 1781 dnia 25 października wydał Józef II. słynny patent tolerancyjny, którego § 1 dozwalał ewangelikom zgromadzać się na modlitwy, a § 2 pozwalał im stawiać świątynie i modlitewnie, byle bez wież i dzwonów. To są »tolerancyjne chramy«. Dzisiaj niektóre z nich już mają dzwonnice i wieże, lecz pochodzą one już z w. XIX. Nazwa druga »artykularne« wywodzi się z »artykułów« prawa z r. 1861, mocą którego w żupach, nie będących pod panowaniem tureckiem, protestanci w Słowaczyźnie i Węgrzech mogli sobie postawić po 2 kościoły w miejscach, które im komisarze królewscy wyznaczyli. Z biegiem lat pozwalano im jeszcze na trzecią i na czwartą miejscowość w żupanji.

Najbliżej Polski były i są do dziś takie artykularne kościoły: na Orawie w Istebnem i Vysznim Kubinie, na Spiszu w Herkowie i Batizovcach, późniejsze w Keřnarku i Tvarožnej. Najciekawszy ze wszystkich nawet wogóle kościołów w całej Słowaczyźnie jest artykularny kościół drewniany w liptowskiej Paludzy, a więc nie odlegle od tatrzańskich granic polsko-słowackich. Wzniesiony w latach 1773—4. Prześliczny zabytek i pomnik starej sztuki ludowej. O jego budowniczym opowiadają, że nie umiał ni pisać, ani czytać, a mimo to wytworzył cacko architektoniczne i dzieło kompozycyjnie bardzo zawikłane, a szczęśliwie rozwiązane.

Długość świątyni bez wieży jest 38·25 m, szerokość 20·50 m, a wysokość 18—19 m. Ma kształt krzyża, drzwi posiada 12, a zmieści się w niem 6.000 osób. Ołtarz główny pochodzi z poprzedniego starego kościoła, pamięta rok 1693. Ozdobiony postaciami: Mojżesza, Arona, apostołów Piotra i Pawła, obraz przedstawia Przemienienie Pańskie, a nad niem wyobrażenie Trójcy Świętej. Cudo rzeźbiarstwa, to kazalnica. Zdobią ją podobizny świętych: Jana Chrzciciela, Piotra i Pawła, oraz czterech ewangelistów. Zdołu oparta o ramiona rzeźbionego anioła. Nad nią aniołkowie z herbami ziemiaństwa, symbolami miłości i Wskrzeszenia Zbawiciela.

Dla polskiego turysty jest też ciekawy staroświecki chram w Kezmarku, wzniesiony w 1717 r. z ofiar przysłanych z Niemiec, Danji i Szwecji. Zachwyt artystów budzi rzeźbiona kazalnica i ołtarz. Równie piękny zabytek drewnianej struktury.

Jeśli podkreślam podtatrzańskie chramy, to aby zwrócić na nie uwagę polskich krajoznawców, którzy z przepustką powiatową mogą Tatry wokół swobodnie obwędrować, zwiedzić i poznać tatrzańskie pogranicze polsko-słowackie.

Słówko jeszcze o wydawcy. W Liptowskim św. Mikulaszu ma siedzibę ewangelickie zasobne wydawnictwo udziałowe Tranoscius (nazwane od słynnego księdza społecznika Tranovskiego). Katolicka Słowacja ma takiż ośrodek wydawniczy w Spolku sw. Vojtecha w Trnavie, *Dr. J. M.*

Narodopisny Vestnik ceskoslovansky, rocznik XLIV (1931), redaktor Jiři Polivka, główni współpracownicy: Jiři Horák, Karel Chotek. Praga 1931. Str. 322.

---

[1]) Album toleranczních a artikularnych chramon. Sostavil Ludevit Szenszel, liptovsky senior. Vydal spolok Tranoscius v Liptovskom Sv. Mikulaszi, 1931. str. 160.

Wydawcą kwartalnika tego jest »Národopisná Společnost Československá«. Z jej czynności za rok ostatni wybija się na czoło cykl odczytów p. t. »Nasze Śląsko«, z obrazami świetlnemi, było tych odczytów 7, prelegenci profesorowie wszechniczni. Wydane zostały drukiem na życzenie powiatów. Prócz czasopisma N. V. C. towarzystwo wydało zeszyt ludoznawczy o morawskiem Horachu, 2 tomy o Pilzeńskim kraju i przygotowano do druku Zalesie i Pardubickie. W dziale opracowań bibljografji wydano tom o czasopismach prowincjonalnych. Wzrosła bogato książnica towarzystwa przez wymiany wydawnictw. Członków ma N. S. C. 994 płacących. Saldo w 1930 r. wynosiło 192.892 Kor. 64 hal. niezależnie od rezerwy na wydawanie Narodpisu 334.406 Kor. 25 hal. Na brak życzliwości i zasiłków znaczniejszych towarzystwo nie narzeka i powodu ku temu niema.

Věstnik w 1931 r. ogłosił dwie dłuższe i bardzo poważne prace, które w odbitkach zostały też rozpowszechnione: o ludowej keramice Černohorskiego i Fabiana i o ludowych zwyczajach gospodarskich Stranskiej. Keramiką interesowano się w tym roku i w Słowacji, interesowali się nią i Czesi i Słowacy. Oryginalną jest tu ze względu na swój temat praca Broża o Jakóbie Bursie (1813—1884), niezwykłym murarzu-artyście, który był twórcą typowości wiosek południowo-wschodnich. Piękne ryciny obrazują jego sposób budowania i dekorowania budowli. On wprowadził do budynków czeskich włoskie kominv Był i poetą samorodnym. I życie jego było poetyckie.

Z innych artykułów na uwagę zasługują Adamka o świeckiej pieśni jarmarcznej i podróżniczej z licznemi przytoczeniami oryginałów i Janki o pochodzeniu słowa czeskiego »vdolky« (pokrewne polskiemu tłukno, o którem pisali w Polsce 1930 r.: Węgrzynowicz i Nitsch). Janko zestawił odpowiedniki: turko-tatarski, irański i słowiański i skłania się do wniosku, że wyraz i potrawa znane są wszystkim tym plemionom z czasu sąsiedztwa i współbytowania w Azji. Prof. Niederle zajmuje się początkiem słowackiego osiedlenia w Podkarpackiej Rusi, a Soukup wierzeniami i zwyczajami trzykrólskiemi z XV w. Bliżej nas zajmuje artykuł polonoznawcy V. Tillego »Pohádky polských cikanů«. Ściśle zaś czeskiem jest studjum J. Volfa, »Z dziejów kultury oświecenia« o drukarniach królewsko-hradeckich.

W dziale sprawozdawczym znajdujemy omówienie prac Bystroniowej »Bibljografji Etnografji polskiej« i Klingera »Dorocznych świąt ludowych i tradycyj grecko-rzymskich«. Oba sprawozdania dał prof. uniw. Jerzy Horák, którego znajomość piśmiennictwa polskiego i władanie mową naszą podziwialiśmy na zjeździe naukowym im. Kochanowskiego w Krakowie w 1930 r.

mg.

Cena zeszytu pojedynczego (16-24 str.) z przesyłką pocztową 50 gr., zeszytu podwójnego (32-40 str.) 1·— zł., bez przesyłki 45 gr. wzgl. 90 gr. Przedpłata roczna 5·— zł.

Poszczególne numery można nabywać w Krakowie w księgarni Gebethnera i Spki.

Cena ogłoszeń: cała strona 50·— zł., pół strony 30·— zł., ćwierć strony 16·— zł.

Wszelkie przesyłki pieniężne, zwroty niesprzedanych egzemplarzy, należy skierować pod adresem: Księgarnia „Orbis", Kraków-Dębniki, Barska 41. Najdogodniej jest wysyłać pieniądze czekiem P. K. O. na konto 409.870. Na odpowiedzi załączyć znaczek pocztowy.

Redaktor naczel. i odpowiedz.: Leopold Węgrzynowicz, Kraków, Oleandry 5, II. p. Administracja: Kraków-Dębniki, Księgarnia „Orbis".

Odbito w Tłoczni Geograficznej „Orbis", Kraków-Dębniki, ul. Barska L. 41, pod zarządem Pawła Czuja.